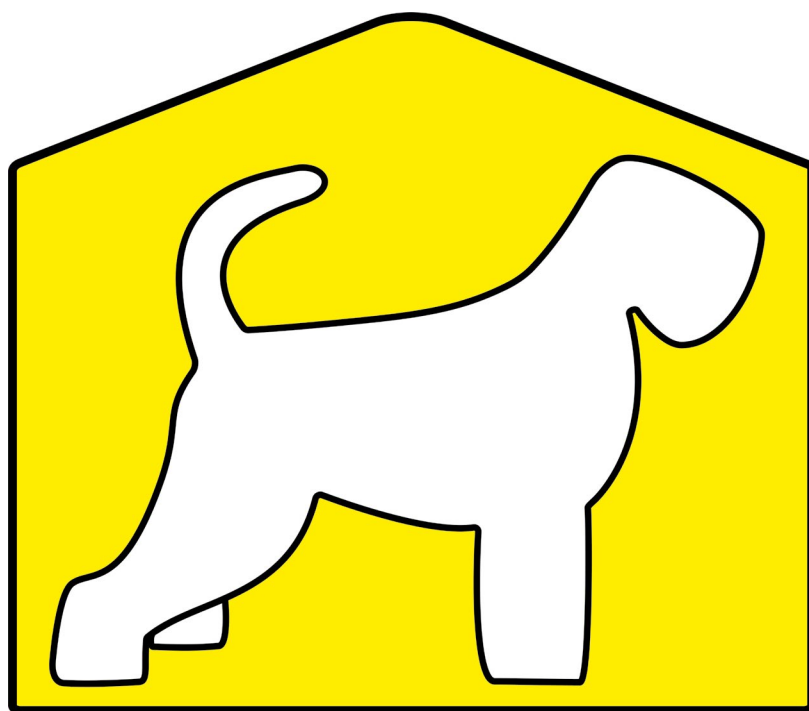


# Willa Taira

moja przygoda z czarnym terierem



WILLA TAIRA

Patrycja Spotan

**Autor:** Patrycja Spotan

**Tytuł:** Willa Taira – moja przygoda z czarnym terierem

**Projekt okładki:** Olga Forlicz

**Skład:** Olga Forlicz

**Redakcja:** Maja Kowalska

**Fotografie:** Archiwum Willa Taira

**Wydawca:** Patrycja Spotan, [www.willataira.pl](http://www.willataira.pl)

© Patrycja Spotan 2022

Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione.

ISBN 978-83-962669-1-0

Niniejszą książkę chciałam dedykować pamięci mojej Mamy Ewy Spotan, dzięki której poznałam i pokochałam czarne teriery oraz mojej Rodzinie, która nie tylko dzielnie znosi moją pasję, ale również bardzo mnie w niej wspiera.

# Spis treści

1.	Odkąd pamiętam	5
2.	Drogi Funt	7
3.	Nie jestem mała, nie jestem biała, czyli spontan Spotana	13
4.	Maxwell House	21
5.	Mogador	32
6.	Nie całkiem czarny Czarny	35
7.	Valikord	38
8.	Pierwsze importy:	41
	- Slavnny Vitjaz iz Russkoi Dinastii	41
	- Igrun Vasiliy s Zolotogo Grada	46
9.	Impresje o Presji	52
10.	Panna Hanna	56
11.	Węgierska Dama	64
12.	Ja Zwycięzca	68
13.	Pokusa Pasji	75
14.	Dodatek do wydania ze stycznia 2022 roku	78



# Odkąd pamiętam

Zawsze chciałam mieć psa. To było moje największe marzenie z okresu dzieciństwa. Rasa i wielkość nie miały żadnego znaczenia. Najważniejsze żeby BYŁ. Mój czworonożny Przyjaciel, którym mogłabym się zaopiekować. Temat psa był wątkowany w domu bez przerwy. Bez końca wierciłam rodzicom dziurę w brzuchu. Oni jednak odnosili się do pomysłu z dużą rezerwą. Tata niespecjalnie przepadał za psami. Większą sympatią darzył koty, których w dzieciństwie miał w domu kilka. Mama z kolei nie bardzo chciała brać sobie na głowę dodatkowe obowiązki. Jej zdaniem byłam jeszcze za mała, żeby samodzielnie zadbać o psa. Miała również obawy, czy z mojej strony nie jest to chwilowy kaprys. Po tygodniu mogłam przecież zakomunikować, że chcę kota, chomika albo żółwia. Mama postanowiła wziąć mnie na przeczekanie. Wówczas padło magiczne zdanie „Kupimy psa jak będziesz starsza”. Przez kilka lat zdanie to było powtarzane niczym mantra. Negatywne nastawienie rodziców nie zniechęcało mnie jednak na długo. Temat powracał niczym bumerang, ale rodzice byli nieugięci. W końcu wymyśliłam sposób i postawiłam na metodę małych kroczków. „Skoro nie mogę mieć w domu psa, to zgódźcie się chociaż na rybki. Bardzo chcę mieć jakieś zwierzątko” - poprosiłam błagalnie mamę. „W porządku” - zgodziła się i odetchnęła z ulgą, że w końcu udało się przewalczyć temat czworonoga.

Tym sposobem pojawiło się w domu 80 litrowe akwarium, w którym pływały liczne małe, kolorowe rybki różnych gatunków. Akwarystyka bardzo nas wszystkich wciągnęła i stosunkowo szybko pojawiło się w domu kolejne akwarium. Tym razem skalne, o pojemności 200 litrów. Pięknie zaprojektowane, ze specjalnie dobranymi rybami i roślinami. Pamiętam, że przed akwarium leżał biały, puchaty dywan. Często się na nim kładłam i podpatrywałam życie ryb. To było ciekawsze niż telewizja. Mogłam tak leżeć godzinami. Z czasem przyszło trzecie akwarium – 100 litrowe z różnymi odmianami samców bojowników. Specjalnie przystosowane, żeby panowie nie zrobili sobie krzywdy. Każdy bojownik mieszkał w oddzielnej kwaterze, a na całej długości akwarium pływała samica. Przepięknie się przed nią prężyły.

I tak w domu, gdzie początkowo nie było żadnego zwierzaka królowały trzy okazałe akwaria pełne ryb. To był już dobry początek. Mimo, że rybki to zwierzątka mało kontaktowe, czułam się z nimi bardzo związana. Gdy któraś umarła, w domu ogłaszałam żałobę. Pogrzeb w ubikacji był w rodzinie sprawą obowiązkową. Rodzice patrzyli na to z przymrużeniem oka, ale co mieli robić. Musieli się dostosować, nie chcąc zrobić mi jeszcze większej przykrości.

Po rybkach przyszła kolej na następny krok - coś nieco większego, puchatego i bardziej kontaktowego. I tak w domu pojawił się chomik Jogi – mała, niekłopotliwa kulka, do której można się już było poprzytulać. Jego imię to efekt fascynacji filmami rysunkowymi Hanny-Barbery. Miś Jogi był



wtedy moim ulubieńcem. Jogi został z czasem przechrzczony na Jogurta, ponieważ piętro wyżej zamieszkał jego kumpel – chomik Kefir. Niezła była z nich para. Nasz futrzak bardzo zaprzyjaźnił się z moim tatą. W pamięci mam cały czas jak obaj panowie „oglądali filmy”. Tata chrapał leżąc na łóżku, a Jogurt chował się w fałdach jego szlafroka. Najczęściej nurkował mu do rękawa i spał tam w najlepsze.

Bardzo pokochaliśmy naszego małego gryzonia, niestety jak każdy chomik nie żył zbyt długo. Smutno było bez niego i tak pojawiła się w domu pięciomiesięczna świnka morska Mycha. Gdy do nas trafiła, była półdzika i bardzo wyptoszona. Mimo, że poświęciliśmy jej sporo uwagi, nie udało nam się nadrobić braków w jej socjalizacji. Do końca pozostała nieufna i niechętna do współpracy. Była kochanym, ale bardzo głupiutkim świntuchem. Po śmierci Mychy w domu pojawił się jej następcą – maleńkie świńskie dziecko. Urocza, ruda dziewczynka, która po pewnym czasie okazała się uroczym chłopczykiem. Pod wpływem filmu Disney’a o przygodach setera irlandzkiego wybrałam mu mało oryginalne imię – Red (rudy). Nie mogłam mieć w domu setera, więc imię było jego namiastką. Red był przemiłym maluchem. Wiecznie urzędował na moich rękach i pił mleko ze strzykawki. Bardzo się ze sobą związaliśmy. To był mój „mały pies”. Przychodził na zawołanie. Po domu chodził za mną krok w krok. Jak na świnkę morską był niesamowicie kontaktowy i niczego się nie bał.

W tym samym czasie w domu pojawił się Ludwik – zgniłozielony kanarek. Delikatny, filigranowy ptaszek, który na widok obcych przemieniał się w groźnego drapieznika i z instynktem łowcy przypuszczał ataki z powietrza. Niewielki wzrostem, wielki duchem. Co rano budził mnie pięknym śpiewem. Uroczy słodziak, który bardzo lubił pieszczoty.

Nasz dom zamieniał się powoli w małe zoo. Stopniowo przełamywałam opór rodziców w kwestii zwierząt w domu. Początkowo sceptycznie podchodzili do moich pomysłów i nowych zwierząt, ale dystans szybko malał i w krótkim czasie nawiązywali bliski kontakt z kolejnymi domownikami. Mama, widząc moje zaangażowanie w opiekę nad zwierzętami i ogromną miłość do nich, w końcu uległa i zgodziła się na psa. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Byłam w siódmym niebie! Pozostał tylko jeden problem... Trzeba było jeszcze przekonać do tego pomysłu tatę...



# Drogi Funt

Gdy miałam 11 lat, rodzice wyrazili zgodę na psa. Założyliśmy, że ma to być duży, rasowy samiec. Pomysłów, jakiej ma być on rasy, było kilka. Po obejrzeniu filmu Disney'a o przygodach żółtego doga niemieckiego Brutusa, byliśmy z mamą zauroczone tą właśnie rasą. Potęga, szlachetność i elegancja tych olbrzymów zrobiły na nas duże wrażenie. Miałyśmy kilka okazji by dogi niemieckie poznać bliżej. W naszym bloku mieszkała arlekinka Kora, a kilka budynków dalej znajomi mieli przepiękną, żółtą sukę, z którą sporo wygrywali na wystawach. Kiedy mieli szczeniaki, pozwolili mi zanurkować w kojcu i pobawić się z maluchami. Nie zniechęciły nas nawet obrzydliwe „sznurówki” często zwisające dogom z pyska, ale fakt krótkowieczności był nie do zaakceptowania. Widok posiwiałego pyska u sześciolatniego psa był dla nas bardzo przygnębiający. Do tego częste u dogów skręty żołądka i problemy z sercem zdecydowały, że postanowiliśmy szukać innej rasy. Pomimo, że dog nie zamieszkał w naszym domu, do dziś mam do niego duży sentyment. Podobały nam się setery, weimary, wyżły węgierskie, ale pomysły na posiadanie psów tych ras po kolei upadały. Nikt z nas nie lubił polowań i nie było w domu chętnego, żeby szkolić psa w tym kierunku. Mieliśmy również obawy czy poradzimy sobie z ich instynktem tropienia i gonienia. „Na tapecie” był również doberman i owczarek niemiecki, ale koniec końców stanęło na czarnym sznauercie olbrzymie.

Bądźmy szczerzy, wybór hodowli był przypadkowy. Dziś nawet nie pamiętam dlaczego zdecydowaliśmy się na psa z rodowodem. Nasze oczekiwania względem szczeniaka ograniczały się do zdrowia i zrównoważonego charakteru. Gdy wjechaliśmy na teren podwarszawskiej hodowli, nasz samochód eskortowały dwa olbrzymy pilnujące posesji. Wtedy rzeczywiście wydawały się nam olbrzymie. Do wyboru było dwóch chłopców. Zupełnie nie przejmowali się naszą wizytą i bawili się w najlepsze na podwórku. Wojna toczyła się o nie byle jakie trofeum – starą, brudną skarpetkę. W pewnym momencie szczeniaki zniknęły nam z pola widzenia. Po chwili jeden z nich pojawił się na horyzoncie, z dumnie zadartą głową przemaszerował do taty ze swoją zdobyczą. Rozczulił nas tym zupełnie i nie mieliśmy już wątpliwości, że to właśnie TEN. Zapłaciliśmy za niego milion dwieście tysięcy – w naszym mniemaniu kosmiczne pieniądze jak za psa. Później w domu ustaliliśmy, że na potrzeby rodziny i znajomych będziemy podawać niższą kwotę. Chcieliśmy uniknąć komentarzy typu „Czy wyście oszaleli, żeby tyle płacić za psa!!”. Zapakowaliśmy szczeniaka do samochodu i pojechaliśmy do domu. Całą drogę trzymałam go na kolanach. Był taki malutki i biedny w moim przekonaniu. Koniecznie trzeba było go poprzytulać. Z czasem pies rósł i na moich kolanach było coraz mniej miejsca, aż w końcu nie bardzo było mnie spod niego widać. Jednak nie stanowiło to dla naszego futrzaka najmniejszego problemu, a ja nie mogłam mieć do niego żadnych pretensji. Sama go tego przecież nauczyłam. Jazdę na tylnym siedzeniu malucha z pięćdziesięciokilogramowym sznauercem na sobie do dziś wspominam z rozrzewnieniem. To było doświadczenie z serii ekstremalnych.



W rodowodzie nasz pies nazywał się Funt Bogmar Traper (ur. 14.04.1990r.). Jego imię nie bardzo nam się wtedy spodobało, więc w domu został ochrzczony Brutus (w spadku po disney'owskim dogu). Pieszczotliwie wołaliśmy na niego Tuniek. Zresztą ten pies miał masę imion i zawsze wiedział, że to o niego chodzi. Gdy przybył do nas miał dwa miesiące. Od początku był pewnym siebie rozrabiaką. Nam tej pewności siebie nieco brakowało, ponieważ mieliśmy zerowe doświadczenie z psami. Poobkładani stertami książek byliśmy lekko przerażeni czy podołamy ogarnąć tę nową dla nas sytuację. Wszystkiego uczyliśmy się na bieżąco, metodą prób i błędów.

Pierwsza poważna próba nastąpiła, gdy nasze czteromiesięczne szczenię rozchorowało się, pomimo że było wcześniej szczepione, na parwowirozę. Wtedy, w chwili zagrożenia jego życia, zdaliśmy sobie wszyscy sprawę, jak bardzo zdążyliśmy się przywiązać do Brutusa. Był z nami dopiero dwa miesiące, a już zawojował serca całej rodziny. W czasie choroby wyglądał jak kupka nieszczęścia, której w dodatku bez przerwy kapał z nosa katar. Robiliśmy wszystko co w naszej mocy, by go uratować. Brutus też się na szczęście nie poddawał i dzielnie walczył z infekcją. Okazał się silnym psem i wyszedł z choroby bez szwanku. Tylko na pamiątkę stoczonej walki został mu w paszczy jeden, przebarwiony ząb.

Jak już zdążyliśmy nieco okrzepnąć i nabraliśmy pewności, że odchowanie szczeniaka to nic trudnego, życie nas szybko dogoniło. Brutusowi przyplątał się gnilec kości. Tak więc okres dorastania naszego malca był dość bujny.

W wieku 9 miesięcy Tuniek poszedł pierwszy raz do psiej szkoły. Oj, nie był tym zachwycony i nie można powiedzieć, że był pilnym uczniem. Wręcz przeciwnie, był raczej uparty i krnąbrny. Ale to przecież sznaucer – nie można od niego było wymagać ślepego wykonywania poleceń. Na przewodnika psa został komisyjnie wybrany tata. Z racji tego, iż cieszył się u psa największym autorytetem, a mi brakowało jeszcze siły fizycznej, żeby zapanować nad psem. Mając 12 lat robiłam za nieszkodliwy breloczek na drugim końcu smyczy. Mój pies niespecjalnie się mną przejmował i chadzał, gdzie chciał. Ba, nawet biegał, gdzie chciał. A ja, ciężko przejęta odpowiedzialnością za niego, nigdy nie puszczałam smyczy. W efekcie wielokrotnie zaliczyłam lot „na supermana” za psem, zakończony długą drogą hamowania na trawie. Kiedyś nawet zrobiłam taką pokazówkę przed oknami szkoły mojego chłopaka. Michał zdążył tylko powiedzieć „Ej, chłopaki! Patrzcie to moja dziewczyna!” i w tym momencie prawie wyskoczyłam z butów i przejechałam na brzuchu przez pół trawnika. Trzeba przyznać, że miałam ostre wejście. Chłopcy, aż zaniemówili z wrażenia!! Można powiedzieć, że to była moja codzienność. Powoli zdążyłam się przyzwyczaić do zielonego koloru na wszystkich moich ubraniach. Ale czemu tu się dziwić, w końcu mój pies miał napęd na cztery, a ja tylko na dwie nogi. Brutus nie traktował mnie poważnie. Byłam jego ulubionym kompanem zabaw. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jestem najmłodszym i najstarszym członkiem stada i zawsze miał na mnie





oko. Nie daj Boże, gdy ktoś miał wobec mnie złe zamiary. Wtedy nie było zmiłuj.

Mimo, że nie brałam czynnego udziału w układaniu Tuńka, bardzo często jeździłam z tatą na zajęcia. Szkolenie bardzo mnie ciekawiło. Siedziałam cichutko z boku i podpatrywałam pracę z psami. Kilkakrotnie miałam też okazję zastąpić tatę celem nauki egzekwowania poleceń wydawanych przeze mnie psu.

Szkolenie Brutusa wydawało nam się początkowo prawdziwą udręką. Z czasem jednak przeistoczyło się w ogromną pasję. Pies z tygodnia na tydzień robił coraz większe postępy. Tata nauczył się z kolei współpracować z psem, co bardzo korzystnie wpłynęło na ich wzajemne relacje i w efekcie zbliżyło ich do siebie. Od momentu, gdy panowie zaczęli się razem szkolić, Brutus stał się praktycznie psem taty. Niemal w każdą sobotę i niedzielę jeździliśmy do podwarszawskiego Zalesia, do szkoły państwa Joanny i Andrzeja Kuncewiczów. Nasi szkoleniowcy okazali się przemiłymi ludźmi, ze świetnym podejściem, zarówno do psów, jak i ich właścicieli. Nawet najbardziej odporni na wiedzę mogli liczyć na wyrozumiałość i niemal świętą cierpliwość pana Andrzeja, który tak długo tłumaczył i powtarzał ćwiczenie, aż do delikwenta dotarło w czym rzecz. Bardzo miło spędzaliśmy tam czas, a po skończonych zajęciach szliśmy na spacer. Pies mógł się wyszaleć do woli. Przestrzeń była praktycznie nieograniczona. Dookoła otaczały nas pola, łąki, las i stawy. Wymarzony plener na wariackie gonitwy.

Po pozytywnym zaliczeniu egzaminu na Psa Towarzyszącego (PT), przystąpiliśmy do szkolenia pod kątem Psa Obronnego (PO). Zależało nam, żeby Brutus potrafił stanąć w naszej obronie, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Szkolenie miało być też metodą na lepszą kontrolę jego zachowania. Początki były marne, a i to mało powiedziane. Pies był bardzo nieśmiały i w ogóle nie chciał chwytać rękawa. Na wstępie wręcz bawiliśmy się w przeciąganie szmaty, żeby trochę go ośmielić i zachęcić. Trzeba przyznać, że był pojętym uczniem. Stosunkowo szybko uznał, że zabawa z pozorantem to „to co tygrysy lubią najbardziej”. Z czasem ataki na rękaw zrobiły się nudne. Pies był zainteresowany faktycznym unieszkodliwieniem agresora, a nie tylko bezmyślnym szarpaniem rękawa. Typowy sznauer! Egzamin PO zdał bez problemu. Tacie tak bardzo spodobała się praca z psem, że zdecydował się na kontynuowanie nauki. Brutus zdał egzamin na Psa Obronnego II stopnia i ukończył kurs III stopnia. Egzamin końcowy chłopcy już sobie odpuścili.

Kupno psa z rodowodem było pretekstem, by zapisać się do Związku Kynologicznego w Polsce. W metryce oficjalnym właścicielem był tata i to on, chcąc wyrobić psu rodowód, stał się członkiem tej organizacji. Ponieważ interesowało mnie wszystko co było z psami związane: książki, gazety i programy telewizyjne, kolekcjonowałam i pochłaniałam wiedzę kynologiczną w każdych ilościach. Do dziś mam w domu pokaźne archiwum z tego okresu. Wiele czytałam i oglądałam liczne programy o wystawach psów, gdyż zagadnienie to bardzo mnie zainteresowało. Pierwsza wystawa, na którą udało mi się namówić rodziców, odbyła się na warszawskich „Wyścigach”. Poszliśmy bez



psa, żeby zorientować się, jak taka impreza wygląda. Byłam pod dużym wrażeniem ogromnej ilości psów i mnóstwa pozytywnie zakręconych psiarzy. Przy ringu sznaucerów obserwowaliśmy ocenę psów. Wtedy żadne z nas nie miało pojęcia o standardzie rasy, a tym bardziej o anatomii naszego własnego psa. Przed oczami migały nam po prostu czarne psy. Całkiem do siebie podobne, urocze Tuńki. Wybory sędziego były dla nas czystą loterią. Byłam zachwycona atmosferą wystawy i już wiedziałam, że chcę tego spróbować. Pozostało mi tylko jeszcze namówić rodziców. Z tym na szczęście poszło dość łatwo.

Handlerem został tata. Ja zupełnie nie miałam śmiałości, żeby wyjść na ring z psem. Tak też zaczęła się moja przygoda z wystawami psów. Pomimo, że nie mieliśmy samochodu, zjeździliśmy kawał Polski. Brutus od małego przyzwyczajony był do różnych środków lokomocji. Jazda pociągami również nie stanowiła dla niego problemu. Szybko okazało się, że mamy całkiem ładnego psa, który zwykle lądował na medalowych lokatach. Ku naszemu zaskoczeniu, jego ojcem okazał się być znany, niemiecki import JANNECK v. Schwarzen Riesen. Mimo, że Brutus rzadko kiedy wygrywał klasę, wystawy sprawiały nam ogromną frajdę. Tuniek był dużym, potężnie zbudowanym samcem, który przepięknie poruszał się w ringu. Jego dwa podstawowe mankamenty, które powtarzały się w opiniach sędziów, to zbyt duży wzrost (2 cm ponad standard) i źle noszone uszy.

Uszy miał niecięte. W ostatniej chwili mama nie zdecydowała się na zabieg, choć siedzieli już z psem w poczekalni u weterynarza. Można powiedzieć, że Brutus uciekł spod skalpela. Impulsem do ewakuacji był widok małego doga z misternie zabandażowanymi i poklejonymi plastrami uszami. Nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego. Mama bardzo się przejęła. Nie chciała fundować naszemu szczeniakowi niepotrzebnych cierpień. Wzięła go pod pachę i wyszła.

Tak więc uszy Brutusa były kłapciate, ale jak się później dowiedzieliśmy, nieprawidłowo noszone. Chrzątka załamała się w złym miejscu, co spowodowało, że uszy nie przylegały mu krawędzią do głowy, lecz sterczały na boki. Wyglądał jak mały helikopter i taką też dostał ksywę.

Na jednej z pierwszych wystaw sędzia w ringu dosyć dosadnie podsumował sytuację „Za humanitaryzm trzeba płacić! Gdyby nie uszy pies by wygrywał”. Ten komentarz zrobił na nas spore wrażenie. Nie spodziewaliśmy się tak brutalnego podejścia i to na wystawie psów. Cóż było robić. „Płaciliśmy” za to z dużą regularnością, ale dla nas i tak nasz „Helikopter” był najukochańszym psem pod słońcem. Mimo nieszczęsnych uszu udało nam się zabłysnąć na wystawie klubowej. Co prawda wystawa rozpoczęła się dla nas bardzo pechowo. Wysiadając z pociągu pies złamał sobie pazur. Bardzo krwawił, ale na szczęście po opatrzeniu łąpy, o dziwo, nie kulał. Zdecydowaliśmy się na start. Tuniek był tego dnia bardzo dzielny i wybiegał srebrny medal. Byliśmy z niego baaardzo dumni!



Może i uszy nie nadawały się na wystawy, ale za to były świetnym pretekstem do wspólnych szaleństw. Często bawiliśmy się w tzw. odpalenie motoru. Udawałam, że siadam na psie okrakiem, a jego sterujące na boki uszy robiły za kierownicę i gaz motoru. W chwili, gdy markowałam ruch podkręcania gazu, Brutus „odpalał silnik” - zaczynał warczeć w charakterystyczny dla siebie sposób - i robiliśmy rundę po domu. Bardzo nam się obojgu te wygłupy podobały.

Byliśmy totalnymi szczypiorkami, a wyjazdy na wystawy traktowaliśmy jako rodzinne pikniki na świeżym powietrzu. Spotykaliśmy się na pogaduchy ze znajomymi i miło spędzaliśmy wolny czas. Największym luzakiem był mój tata. Nawet w ringu był tak pochłonięty gadaniem, że bardzo często w ogóle nie zwracał uwagi na psa. Ustawiał go dopiero po naszych rozpaczliwych nawoływaniach spoza ringu „Sędzia idzie!! Trzeba psa ustawić!!”. Hasło „A Spotan znów gada” weszło do kanonu wystaw tamtego okresu.

Stopniowo wszyscy zdobywaliśmy doświadczenia. Czarne, brodate „plamy” w ringu zaczęły nabierać konkretnych kształtów. Z czasem rozróżnialiśmy poszczególne hodowle i na bieżąco śledziliśmy rozwój rasy w kraju. Brutus uzyskał status reprodutora i nawet kilkakrotnie został tatą. To było dla nas niesamowite przeżycie. Beztroska zabawa trwała do momentu, gdy uświadomiliśmy sobie, że z naszym postrzeganiem wystaw jesteśmy w mniejszości. Stopniowo docierały do nas sygnały o różnego rodzaju wojnach podjazdowych między hodowcami i właścicielami reprodutorów. Nie mogliśmy tego pojąć i staraliśmy się trzymać się z boku. Zupełnie nas to zniesmaczyło, a tata powiedział po prostu „DOŚĆ! Jak to ma tak wyglądać to ja dziękuję za taką zabawę!”. W taki oto sposób zakończyła się trzyletnia przygoda Brutusa z wystawami. Chociaż nie, przepraszam, w weteranach zrobiliśmy „wejście smoka”. Pies był w świetnej kondycji, a na międzynarodówce w Warszawie ocenił sędzia z Danii. Była szansa na obiektywną ocenę, więc zdecydowaliśmy się go pokazać. Tym razem ja wyszkoliłam psa do występu w ringu. Piękne przygotowanie sierści zawdzięczałam mojej przyjaciółce – Mai Kowalskiej. Po kilkuletniej przerwie pies zaprezentował się rewelacyjnie. Sędzia był pod dużym wrażeniem. Stwierdził nawet „Ten weteran ma najlepszy ruch na dzisiejszej wystawie. Młodsze pokolenie powinno brać z niego przykład”. Ocena sędziego była dla mnie przemianą niespodzianką. Duńczyk poprosił, żebym przetłumaczyła jego opinię publiczności, ale mnie po prostu zatkało. Byłam tak oszołomiona, że nie mogłam wydusić z siebie słowa. Podejrzewam, że wyraz twarzy miałam również mało inteligentny. Odzyskałam mowę dopiero, gdy mama szturchnęła mnie z boku. Podczas konkurencji Best in Show Weteranów gospodarz ringu nie chciał nas wpuścić. Z uporem maniaka powtarzał, że wybory drugiej grupy są później. Nijak nie dawał się przekonać, że ten pies na smyczy to już dziadek. Wręcz powiedział, żeby nie robić z niego idioty. Dopiero, gdy pokazałam mu komplet dokumentów, pozwolił nam wejść na ring główny. Ale tak do końca to chyba nadal nie był przekonany. To był najlepszy dowód na to, w jak rewelacyjnej kondycji był nasz pies. Na finałach Brutus poszedł za ciosem i wygrał BIS Weteranów. Byliśmy przeszczęśliwi. To był dla



nas piękny i pełen radości dzień. Z poczuciem satysfakcji zakończyliśmy pokazywanie Tuńka na wystawach. Pozostało mu cieszyć się urokami beztrioskiej emerytury.

Brutus był z nami 12 lat. Zawsze pełen energii i skory do zabaw. Gdy miał ochotę się przewietrzyć, podpuszczał nas, że pilnie musi wyjść na dwór. Wtedy zawsze ktoś z nas w popłochu zakładał ciuchy i biegł z nim na spacer. Na dworze okazywało się, że to był fałszywy alarm. Tuńka po prostu „swędziały łapki” i tak powstało w domu określenie nowej jednostki chorobowej o nazwie „swędziocha tuniowata”. Długo cieszył się dobrą formą. Nawet kiedy był już powolnym, przygarbionym starszkiem stwarzał pozory dziarskiego weterana. Na widok innego psa zmieniał się nie do poznania. Spinał się w sobie, zadzierał dumnie łeb do góry i przyspieszał kroku. Trwało to tylko kilka chwil, do momentu aż minął intruza. To była jego taka gra pozorów. Dusza nadal chciała, ale ciało już było nie to.

Gdy weterynarz zdiagnozował u niego raka jąder, natychmiast zdecydowaliśmy się na kastrację. Niestety nie na długo to pomogło. Z czasem pojawiły się liczne przerzuty. Brutus do końca był dzielny i na swój sposób walczył z chorobą. Gdy nie było już dla niego nadziei i zaczął cierpieć, rodzice podjęli decyzję, że trzeba psa uśpić. Odszedł w domu, w miejscu, które znał. Wśród ludzi, których kochał. Gdy przyjechał weterynarz, w domu rozegrała się niesamowita scena. Dwa pozostałe psy - Taira i Vasiliy - zamknięte w pokoju nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Zwykle ujadają pod ekscytowane wizytą gościa w domu. Jednak nie tym razem. W domu panował niesamowity spokój, zarówno podczas wizyty, jak i po wyjściu lekarza. To robiło wrażenie wręcz grobowej ciszy. Psy zachowywały się zupełnie tak, jakby ich nie było. One po prostu wiedziały, że dzieje się coś strasznego i smuciły się razem z nami. W naszym stadzie zapanowała żałoba.

Dzięki Brutusowi poznałam wiele ciekawych osób, w tym m.in. redaktora niniejszej książki. Połączyła nas miłość do sznaucerów i pasja kynologii. Nasza przyjaźń przetrwała próbę czasu i w tym roku stuknęło nam z Mają 20 lat znajomości. Cyfra robi wrażenie! Rety, kiedy to przeleciało? Mój pierwszy pies zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. Był wymarzoną i wyczekany najlepszym kumplem z okresu dzieciństwa. Razem się bawiliśmy i razem rozrabialiśmy. Byłam w nim zakochana po uszy, a on w razie potrzeby dałby się za mnie pokroić. Całkowicie bezinteresowny w swojej miłości. Zawsze czujny i gotowy do obrony. Mój prywatny bodyguard. Czarny sznaucer o olbrzymim sercu.

